

Niedouczenie czy niebezpieczne manipulacje?

21 lutego 2018

Wojciech Szacki, redaktor „Polityki”, napisał na swoim blogu notkę dotyczącą nowelizacji ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej. Reklamował ją później na Twitterze słowami: „Ustawa jest idiotyczna, ale i groźna, bo służy nie historii, lecz jej wulgaryzacji”. Wielu internautów pogratulowało „świetnego tekstu” i „mądrego komentarza”, artykuł redaktora „Polityki” polecała także popularna blogerka Katarzyna i dziennikarze „Faktu”. Czy Szacki rzeczywiście napisał coś, co zmienia perspektywę w sprawie nowelizacji ustawy o IPN i sporu, który się wokół niej toczy?

Pierwsze dwa akapity są kluczowe, dlatego pozwalam je sobie przytoczyć niemal w całości: „Gdyby latem 1939 roku w Polsce zrobić zdjęcie setce ludzi w kościele, to po sześciu latach 90 osób z fotografii wciąż by żyło. Kilka osób miałoby za sobą działalność w konspiracji, kilka ratowałoby Żydów, ktoś przeżyłby obóz, znalazłby się także jakiś volksdeutsch, szmalcownik, kolaborant czy żołnierz Wehrmachtu. Trzy czwarte ludzi ze zdjęcia (może dwie trzecie, a może siedem ósmych, w każdym razie znakomita większość) miałoby za sobą zaś sześć lat biernego poddawania się losowi okropnemu, ale jednak dającemu życie” – pisze Szacki. Liczbę zamordowanych „Polaków z kościoła” redaktor polityki zestawiał z „Żydami z synagogi”. „Gdyby latem 1939 roku w Polsce zrobić zdjęcie setce ludzi w synagodze, to po sześciu latach 90 osób z fotografii byłoby martwych. Dobrzy i źli, bogaci i biedni, wykształceni i analfabeci, kolaboranci i bojownicy – bez różnicy; na dłuższą metę żadna cecha i żadne zachowanie nie wpływały na szanse przetrwania” – czytamy w tekście.

Zestawmy ten publicystyczny erzac z faktami.

Pierwsze, szacunkowe i niedokładne opracowania szkód wojennych podjęto w styczniu 1947 roku, gdy straty osobowe II RP oszacowano na 6,028 milionów osób. W tej liczbie było 3,2 miliona obywateli Polski pochodzenia żydowskiego i 2,7 słowiańskiej ludności polskiej. Z wielu względów są to jednak dane niedokładne i nieprecyzyjne, o czym Szacki nie wie bądź nie pamięta.

W liczbie tej – z oczywistych powodów – nie ma ofiar zbrodni sowieckich na terenach włączonych po 1939 roku w granice ZSRR. Liczba ta nie uwzględnia także ofiar zbrodni UPA na Wołyniu, gdzie zamordowano 100 tysięcy Polaków. Ponadto, szacunki z 1947 roku są dziś przez historyków kwestionowane dość powszechnie, gdyż nie bazowały na żadnych poważnych danych i badaniach.

Pewne jest jedno, przed wojną mieszkało w Polsce 35 milionów obywateli, z tego 13 milionów na terenach zajętych przez Sowietów i 22 miliony po drugiej stronie rzeki Bug. Spis powszechny, który przeprowadzono po wojnie, wykazał 24 miliony ludzi, wśród których znalazły się 2 miliony Niemców i ok. 1 do 1,5 miliona Polaków na tzw. „Ziemiach Odzyskanych”. Widać więc dość wyraźnie, że w wyliczenia z 1947 roku nie mają zbyt wiele wspólnego z rzeczywistością. Liczby te nie uwzględniały m. in. mieszkańców Kresów, gdzie mieliśmy co najmniej 1,5 miliona ofiar zarówno niemieckich jak i stalinowskich zbrodni. Żadne statystyki nie mówią też o stratach wśród mniejszości polskiej zamieszkałej w granicach III Rzeszy, o licznych członkach polonijnych organizacji, takich jak na przykład Związek Polaków w Niemczech.

Jeśli zatem mamy mówić o prawdziwych, bądź przynajmniej zbliżonych do prawdziwych, liczbach, to zdecydowanie trzeba przyjąć, iż polskich ofiar było znacznie więcej niż 6 milionów. Z kościoła wspomnianego przez redaktora Szackiego zginęłoby więc co najmniej 30 do 40 osób na 100. Pozostała część straciłaby kogoś bliskiego i zmagałaby się z powojenną traumą do końca swojego życia. Oczywiście tylko wówczas, jeśli

miałaby szczęście i nie zginęłaby z ręki tych, którzy utrwalali stalinowską rzeczywistość po wojnie i mordowali Polaków. Dla ułatwienia przypomnę redaktorowi Szackiemu, że byli to ci sami ludzie, którzy w 1957 roku wpadli na pomysł założenia czasopisma „Polityka”.

Profesor Tomasz Szarota z Instytutu Historii PAN, wybitny badacz II wojny światowej i okupacji oraz współautor (wraz z prof. Wojciechem Materskim) programu badań strat osobowych w czasie wojny przyznał w jednym z wywiadów, że precyzyjna liczba polskich ofiar II wojny światowej jest dziś niemożliwa do oszacowania: – Zwyczajnie brakuje nam precyzyjnych obliczeń. Za to obserwujemy w Polsce dwie tendencje. Historycy raczej liczbę polskich ofiar wojny zaniżają, demografowie są zdania, że straciliśmy więcej niż 6 milionów obywateli – mówił profesor.

Przytacza też historię, która wydarzyła się po zamachu na Kutscherę w Warszawie, kiedy Niemcy rozstrzelali w miejscu jego śmierci sto osób (o czym pisał m.in. Władysław Bartoszewski), nie podając jednak żadnych nazwisk. „Mnie udało się zidentyfikować dziesięciu chłopców, których rozstrzelano za Kutscherę. Wiemy, że całą ich winą było to, że grali w piłkę, a Niemcy wzięli mecz za tajne zebranie podchorążówki” – mówił prof. Szarota.

Ci zamordowani przez Niemców chłopcy mieli pecha, bo byli Polakami. Kim zatem trzeba być, by wobec takiego bezmiaru cierpienia i takiej hekatombi napisać słowa, które napisał redaktor Szacki? Cytuję jeszcze raz, bo trudno nawet wyobrazić sobie to, że polskiemu dziennikarzowi może przyjść coś podobnego do głowy: „(...) znakomita większość (Polaków w czasie wojny – przyp. red.) miałoby za sobą zaś sześć lat biernego poddawania się losowi okropnemu, ale jednak dającemu życie”?

Podobnych spraw w tekście redaktora Szackiego jest znacznie więcej. Nie ma głębszego sensu analiza słów takich jak: „ustawa jest idiotyczna”; „zamiast poprawiać wizerunek Polski

w świecie – pogarsza go” czy „ustawa jest (...) groźna, bo służy nie historii, lecz jej wulgaryzacji”, które autor zestawia z wywiadem Moniki Olejnik z minister Anną Zalewską, która zdaniem Szackiego „nieprzytomnie bredziła w sprawie Kielc i Jedwabnego”.

Tego typu słów w ogóle nie oceniam, bo uznaję, iż wystawiają one ocenę temu, kto ich używa. Dość powszechnie w cywilizowanym świecie przyjmuje się, że sztuka prowadzenia sporu ograniczona powinna być do argumentacji, a nie ocen uzupełnianych inwektywami i niewybrednymi epitetami. Cóż jednak począć, kiedy brakuje wiedzy i argumentów, a dodatkowo co chwilę manipuluje się faktami i liczbami? A to w przypadku tekstu redaktora „Polityki” niestety norma.

Dodatkowo, pisze on w typowy sposób dla współczesnego lewicowego publicysty. Mamy więc powielenie schematu trenowanego od lat przez piewców i propagatorów pedagogiki wstydu. Skracając, redaktor „Polityki” pisze tak: „Może nie było u nas Quislinga, może byli Ulmowie, Pilecki, Karski i Sendlerowa, ale przecież była też Brygada Świętokrzyska”. A Szacki nie jest przekonany, że „premier państwa polskiego powinien odwiedzać groby żołnierzy oddziału współpracującego z Niemcami i mającym na koncie potyczki nie tylko z Armią Ludową, lecz i Batalionami Chłopskimi”. Ponadto redaktor przypomina, iż „Polacy mordowali Żydów nie tylko w Jedwabnem”, bo przecież – co jest wiadome bez dowodzenia – Polacy byli i są antysemitami.

Oczywiście w przypadku Brygady Świętokrzyskiej redaktor Szacki nie bawi się w żadne skomplikowane analizy i wykorzystuje znane skądinąd kalki. Nawet jeśli przyjmie się jego sposób myślenia, to mogłoby dziwić to, dlaczego nie szuka czarnych owiec po drugiej stronie. Dlaczego nie zadaje pytania o to, czemu np. Żydzi nie chwalą się Rumkowskim i Judenratami? Dlaczego nerwowo reagują na przypomnienie o Salomonie Morelu? Z jakich powodów nie rozpamiętują słów najśłynniejszego kronikarza warszawskiego getta Emanuela Ringelbluma, który o

roli żydowskiej policji pisał, że „wyróżniała się również straszliwą korupcją i demoralizacją”? Na takie analizy nie ma w myśli lewicowej miejsca.

Najciekawiej jest jednak wówczas, kiedy redaktor „Polityki” pisze o liczbach, bo tu wykłada się najbardziej i tu najpełniej widać jego manipulacje i przekłamania.

„Ok. 400 tys. Polaków służyło w AK, ok. 300 tys. – w Wehrmachcie; w większości zostali tam wcieleni przymusowo, ale było też ok. 20 tys. ochotników” – pisze Szacki. Nie wspomina jednak o tym, że w 1931 roku mniejszość niemiecka liczyła w II RP 750 tysięcy osób. W Wielkopolsce i na Pomorzu stanowiła 10% populacji, na Górnym Śląsku 7%. To z tej mniejszości rekrutowali się „polscy” ochotnicy do Wehrmachtu.

„Polska historia jest fascynująco skomplikowana i nie widzę potrzeby, by ją upraszczać, zwłaszcza karnymi paragrafami w służbie aktualnie rządzących. Prawdziwa cnota krytyki się nie boi” – kończy swój felieton redaktor „Polityki”. Co zabawne, czytamy o tym na portalu, którego korzenie sięgają 1957 roku, kiedy Gomułka wpadł na pomysł, by hamować Październik '56 i zwalczać prasę, która pozostawała „w ciągu rewolucyjnym” i parła do dalszych zmian. Dziś, kiedy Polska – często dość pokracznie, niezdarnie i nieporadnie – zaczyna walczyć o prawo do własnej narracji historycznej, z tego samego miejsca zaczynają odzywać się pogrobowcy tej gomułkowskiej walki, którzy znów próbują hamować jakiekolwiek dążenie do zmiany. Bo przecież historia jest skomplikowana, a szczególnie skomplikowana jest historia Polski. To dość symptomatyczne, że tak wiele musiało się zmienić, żeby w niektórych miejscach zupełnie nic się nie zmieniło.

Autorstwo: Artur Ceyrowski

Źródło: Stefczyk.info